

**Od autora:** Tekst najnowszy - 2 listopada 2023.

---

Wybraliśmy się do Niemiec, konkretnie do miasteczka Ravensburg, na konferencję pod mało zrozumiałym - poza piszącym te słowa - tytułem “Deregulacja ogranicza integrację”. Busik prowadził zawodowy kierowca, w środku siedziało z osiem osób, a drugi bus marki mercedes jechał za nami. Wewnątrz aut siedzieli lekarze, pacjenci i osoby czynnie zaangażowane w projekty społeczne psychiatrii środowiskowej z Krakowa. Jako sekretarz redakcji czasopisma pacjentów “Dla Nas” oraz v-ce przewodniczący polskiej filii stowarzyszenia “Schizophrenia - Open The Doors” miałem poczucie, że na wyjeździe będzie się sporo działo. I nie myliłem się. Tymczasem przemierzamy autostradą A4 koło Opola i zatrzymujemy się na nocleg w jakimś polskim pensjonacie klasy B blisko granicy, która już nie istnieje. A przynajmniej nie istniała w roku 2006.

Dostaliśmy kilka pokoi i już na wstępie któryś z pacjentów buchnął z portfela lekarki-psychiatry kilkadziesiąt euro. Poczujęm się winny i niemal uwierzyłem pod wpływem badawczego spojrzenia kobiety, że to ja ukradłem tę forszę. Poszliśmy spać. Wcześniej wypaliłem ostatniego mentola na dworze, bo w Polsce zaczynała się już “nicotine panic” i zabraniano palenia wszędzie, gdzie się dało. Nawet chcieli zakazać kurzenia nie tylko na balkonach, ale w domach. Przypomniały się dawne filmy i seriale, a także zwykłe biura, gdzie z nudów wszyscy cmokali extramocne jak stare lokomotywy. Niebieskawo-szare kółka unosiły się nad głowami znudzonych pań, przekładających papierki z kąta w kąt, niczym ogniki podczas Zesłania.

Rano ruszyliśmy dalej, a po południu zawitaliśmy już do niemieckiej destynacji naszej świeckiej peregrynacji. Zapadł wcześniej wieczór, bo był właśnie ten jedyny niebezpieczny dla Polaków miesiąc, gdzie mogło się zdarzyć wszystko.

Gdy przejechaliśmy rogatki miasta, nagle kierowca stwierdził, że ma dość jazdy, jest zmęczony i dalej nie jedzie, a zakwaterowanie mieliśmy w kilku hotelach. “Kto ma prawo jazdy, niech rozwiezie wszystkich do pensjonatów” - stwierdził, po czym zabrał swoje rzeczy i udał się do pierwszego hotelu, pod który specjalnie podjechał. Okazało się, że tylko ja mam prawo jazdy i w dodatku przy sobie. Nikomu nie śniło się o GPS-ach, różnych “Janosikach”, mapach Google w telefonach, bo Steve Jobs dopiero co prezentował smartfona i nie było Internetu w telefonach. A przynajmniej w moim. Trudna rada.

Usiadłem za kierownicą. Kierowca pokazał mi włączniki świateł i poszedł. Odpaliłem forda i sprawdziłem, jak działają przełożenia. Była już noc. Ruszyłem dość niepewnie, choć prawo jazdy miałem już dziesięć lat. Po jakichś pięciu, najdalej sześciu minutach auto opanowałem. Andrzej, wybitny koordynator całej akcji, dyktował mi, jak mam jechać. Na szczęście ruch był niewielki, bo Niemcy dbają o centra miejskie. No i nie ma żadnych reklam z gołymi babami, bo bym pewnie owinął się o pierwsze lepsze drzewo, których nasadzono sporo. Przede wszystkim zaś trasa nie była natkana setkami zbędnych znaków pionowych, jak to się dzieje u nas. Niemcy dbają o porządek. Aż do przesady. Może próbują odkupić swoje dawne winy.

\*\*\*

Kiedy rozwiozłem jakimś cudem w obcym mieście dużym busem gości do hoteli, wjechałem na parking swojego. Kolega Marcin pokazywał mi odległość od ściany pasażu, który trzeba było pokonać, aby zaparkować na czymś w rodzaju podwórku, gdzie stało już sporo aut. Wypasionych, dokładnie. Naiwnie zapar-

kowałem w wolnym miejscu, a rano tego pożałowałem. Nie mogąc zawrócić, cofałem autem na milimetry między Scyllą i Harybdą ścian, starając się nie uszkodzić lusterek. Udało się. Pojechaliśmy na pierwszy wykład konferencji. Gdy wszedłem do budynku i auli, widok tłumów, głównie Niemców odebrał mi nie tylko resztki mowy niemieckiej, ale i spowodował duszności. "Siadaj, zaraz ci przejdzie" - powiedział koordynator Andrzej i gdzieś poszedł. Miał tyle spraw, że gdzie by tam się przejmował moimi nerwami, rozumiem to. Deregulacja ogranicza integrację. Nic początkowo z tego nie wiedziałem. Ale pogłówkowałem i rozkminiłem. Ten pierwszy wyraz oznacza ograniczenie roli państwa i socjału oraz przeniesienie spraw społecznych na samorządy, które same mają zdobywać środki na życie na prowincji. To po prostu wolny rynek, a w istocie - wolna Amerykanka, gdzie kto sprytniejszy, ten ma kasę. Integracja - każdy wie, ale nie rozumie. Pacjentów nie trzeba resocjalizować, to nie przestępcy. Prędej sobie coś zrobij niż komuś.

Tak mi tłumaczyła siedząca obok leciwa pani Zofia, zasłużona działaczka "Otwórzcie Drzwi" i przewodnicząca "Rodzin Pacjentów Psychiatrycznych". Była matką córki chorej na schizofrenię. Podziwiałem ją. W wieku dobrze po osiemdziesiątce jeszcze znajdowała energię, może z kosmosu, aby jeździć po sesjach, gdzie między innymi informowano o nowych metodach terapii, nie tylko zresztą chemicznych. Siedziałem w słuchawkach, bo nie znałem na tyle narzecza naszych sąsiadów, dziś będących na cenzurowanym, wtedy jeszcze nie. Cóż, jakie rządy, takie relacje z ościennymi krajami...

\*\*\*

Na drugi dzień nie zjawiłem się na sesji, gdzie miałem czytać swój referat. Dałem roboczy tytuł "Nie każda praca leczy", gdzie mówiłem, że pacjenci, którym każe się stać na recepcji albo sprzątać ulice za pięć na godzinę raczej szczęśliwi nie będą. Referat przeczytał kolega Marcin, też schizofrenik, ale w pełnej remisji. Podobno Niemcy wstali z krzesel i klaskali na stojąco, ale kto ich tam wie. Może wstali, może nie. Może nie wszyscy. Może Marcin miał znowu omamy. Ale miło. Bo przecież rzadko to się zdarza. Chyba w sali królewskiej w Sztokholmie.

Wieczorem była impreza nad jeziorem. Typowo szwajcarski krajobraz, na pierwszym planie woda i drzewa, małe, ładnie pomalowane domki, a w tle często ośnieżone góry.

Siedzieliśmy w namiocie wojskowym. Mieścił kilkadziesiąt osób. Nagle "to" się znowu zaczęło. Dopadło mnie w sytuacji społecznej. Duszność, kołatanie serca. "Zaraz zemdleję" - mówię Andrzejowi. A on chwytając mnie za puls i po chwili mówi: "Założymy się, że nie zemdlejesz?" - jego głos, aksamitny i niski koi skołatane już trzydziestoletnim życiem nerwy. Bo najpierw są geny, ale zaraz potem stres. Daje znak, abyśmy wyszli z namiotu. Potem to samo dopadnie mnie w autobusie, którym jechaliśmy zwiedzać jakiś szpital psychiatryczny, urządzony perfekcyjnie, z warsztatami rzemieślniczymi, gdzie pracowali w co lepszym stanie pacjenci. Praca leczy. Tak, ale nie każda. Gdy zacząłem szybko oddychać, ktoś zawołał Andrzeja, w try miga siadł koło mnie i przytrzymał nadgarstek. "Dusza krzyczy" - powiedział. "A ja w to nie wierzyłem" - odpowiadam ledwo łapiąc tlen. "A właśnie" - dodaje i potem w rozmowie tłumaczy po kolei, co może dawać ta choroba. "Jak wrócimy do hotelu, grzmotnij sobie anafranilek" - nie wiem, skąd wiedział, że mam ze sobą. Może powiedział mu drugi lekarz, który prowadził mnie w Kobierzynie pół roku wcześniej.

Gdy stoimy w korytarzu szpitala i słuchamy wyjaśnień przewodnika-Charona, słyszę, jak Krzysiek mówi coś do jeszcze jednego lekarza. - Ale zobacz, przeważają objawy miękkie. I dlatego tyle masek somatycznych... - sycza głos, gdy orientuje się, że mam również nadслyszalność. Kieruję z trudem uwagę na Charona i podkręcam potencjometr w słuchawkach. Hermes tłumaczy mi każde słowo, choć sporo rozu-

miem z kontekstu.

\*\*\*

Kiedy wyszliśmy z gwarne go namiotu, odetchnąłem z ulgą. Dziadek też nie lubił tłumów, więc nie chodził do kościoła. Ja z kolei dobrze czuję się tylko w świątyni. Ale tylko w katolickiej. Poszliśmy z Andrzejem-cudotwórcą na molo jeziora, gwiazdy błyskały, a może satelity. Jeden pies. Ważne, że było światło. - I do końca życia oduczysz się tych duszności - rzekł do mnie, a ja patrzyłem przerażony. Bo przecież nie wiedział, ile mi tego życia zostało. A co, jeśli padnę tu trupem za trzy minuty. Albo będę się męczył jeszcze z pół stulecia. Potem potańcówka, Krzysiek tańczy z okradzioną przy granicy lekarką Anetą, ferajna tańczy, ja nie tańczę. I tak mija ostani wieczór w kraju, który co prawda ogólnie ma sporo za uszami. Ale jest jakieś miłosierdzie. A ci nasi Niemcy dwoją się i troją, abyśmy czuli, że są naszymi przyjaciółmi. Że mają dobre intencje i chcą zmieniać polską, zapyziała jeszcze, zwłaszcza na peryferiach, psychiatrię. Wszak ciągle w takim Kościanie pewnie ładują w pacjentów wiadro leków i na tym koniec. Lecz nie jest to koniec. To dopiero początek...

\*\*\*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Rafał Sulikowski, dodano 03.11.2023 16:05

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).